

# Błękitny kapelusz

---

Tamtego dnia wzruszył mnie pies stojący pod sklepem. Wyglądał tak bardzo niewinnie i odrobinę niepozornie. Nie próbował do nikogo podchodzić, tylko prześwietlał swoimi wielkimi oczami każdą nadchodzącą istotę, zupełnie jakby na kogoś czekał. Przez ułamek sekundy zawładnęła mną mieszanka bardzo dziwnych uczuć. Z naiwnością dziecka pomyślałam, że być może to ja mogłabym być tą osobą. Szybko się zgałębiałam za swój niedorzeczny pomysł. Co to w ogóle miało znaczyć? Już nie pierwszy raz moje własne myśli wydawały mi się być wstydliwie śmieszne. Zapewne obiektem oczekiwań tego cudnego stworzenia był człowiek spokojnie robiący sobotnie zakupy, zupełnie nieświadomy tego, że niezrównoważona kobieta obmyśla w głowie plan porwania jego pupila. Mimo wszystko postanowiłam poczekać. Nieistotnym dla mnie było to, jak długo będę musiała sterczeć pod marketem. Czułam, że muszę zostać do czasu, aż nie będę miała całkowitej pewności, że ta psina nie czuje się samotna. Zająłam więc honorowe miejsce na chodniku, a następnie zaczęłam gładzić miękkie futro mojego tymczasowego towarzysza. Przez ten krótki czas wszystko było pięknie właściwe. Żadne z nas nie musiało już na nikogo czekać. Przez tę krótką chwilę mieliśmy siebie. Ale niestety szybko okazało się, że wcale nie byłam potrzebna tak, jak mogło mi się wydawać. Tak, jak chciałabym być. Przybył właściciel, a mnie oblał strumień gorzkiego żalenia. Co też ten mężczyzna mógł sobie pomyśleć? Obląkana staruszka napastuje cudze zwierzęta. Jeśli tak było, to nie mijał się zbytnio z prawdą.

Po tej nieudanej misji ratowania świata wróciłam do domu niczym pies z podkulonym ogonem. Moim jedynym towarzyszem znowu był mój własny cień. Westchnęłam ciężko i spróbowałam zjednoczyć się w myślach ze wszystkimi, którzy w tamtej chwili czuli się tak samo i którzy tak jak ja nie mieli do kogo otworzyć ust, przez co zdawało im się, że wariują, bo zaczęli mówić do siebie oraz którzy czasem czuli się jak niewidzialni rycerze zamknięci w czterech ścianach, a ich największym przeciwnikiem była obezwładniająca pustka. Zrobiło mi się ich przeokropnie żal. Już niekoniecznie chodziło o mnie, a nawet jeśli, to nie chciałam się do tego przyznawać. Zastanawiałam się - i to już nie po raz pierwszy - co by było, gdyby wszyscy ci toczący walkę z samotnością, nagle się odnaleźli. Ludzi na świecie przecież było tak wiele, całe miliardy, więc raczej nie zaburzyłoby to ładu wszechświata. Z resztą nawet jeśli, to moim zdaniem byłoby warto. Pewne sprawy niezwykle pragnęłam zmącić.

Postanowiłam nie poddawać się poczuciu bezsilności wobec kolei rzeczy, nawet w moim małym wszechświecie i spróbowałam nadać moim myślom inny, przyjemniejszy ton. Dla poprawy nastroju podeszłam więc do kalendarza i z uśmiechem na ustach stwierdziłam, że pozostała jedna jedyna doba. Cała rozpromieniona ochoczo zabrałam się do pracy. Kroiłam i gotowałam z największym możliwym zapalem. Rzecz jasna, chciałam wszystko urządzić jak najlepiej. Taka już była moja natura. Mój zapal ponadto rozniecał fakt, że dni w roku takie jak

ten mogłam policzyć na palcach obu rąk, co porównaniu z liczbą trzysta sześćdziesiąt pięć stanowiło jedynie nieznaczny, ale za to jakże radosny ułamek! Każde spotkanie z moim synem było dla mnie ogromną pociechą i powodem do ogromnej dumy. Lubiłam słuchać o tym, jak się spełnia we własnej pracy, nawet jeśli czasem wydawało mi się, że odrobinę przesadza i się w niej zatracza. Podczas naszych spotkań nie chciałam psuć atmosfery i z matczyną dumą wysłuchiwałam jego długich i gwałtownych wywodów, przepelnionych zapalem oraz niezrozumiałą dla mnie terminologią. Próbowalam zachowywać hart ducha nawet wtedy, gdy był wyraźnie poirytowany którymś z moich pytań lub nietrafnie sformułowanych stwierdzeń. Oczywiście, nie było to dla mnie najmiłsze, ale nie to przecież się wówczas liczyło. Ważne, że mój kochany syn był przy mnie, a ja przez ten krótki czas mogłam być z nim.

Zrozumiałam więc ogromny zawód, jaki spotkał mnie, gdy dowiedziałam się o nagłym odwołaniu nadchodzącej wizyty. Od trzech miesięcy nasze spotkanie było moim zapalnikiem, a wręcz od pewnego czasu było dla mnie jedynym źródłem radości. Nie zważałam już na wszystkie wykonane przygotowania i porządki. To stanowiło naprawdę dobre wypełnienie czasu, którego przecież miałam na pęczki. Ja po prostu tak niezmiernie się wcześniej cieszyłam. Jako matka zawsze byłam spokojniejsza, gdy miałam przy sobie moje dziecko i mogłam się o nie z matczyną czułością potroszczyć. Niestety, z biegiem lat jak każdy musiałam się pogodzić z myślą, że dzieci obierają własne ścieżki, a wieczne trzymanie ich pod kloszem jest najzwyczajniej niemożliwe. Wciąż natomiast bolał fakt, w jak beznamiętny sposób mój syn przekazał mi wiadomością tekstową, że niestety nie przybędzie. Pięć elektronicznych słów. Właśnie tyle potrzebował, aby zakomunikować mi, że długie tygodnie tęsknoty i odliczania miały się jeszcze przedłużyć.

Prawdą było, że od śmierci męża przez długi czas poszukiwałam własnego rytmu. Dawne wspólne rytuały musiałam zastąpić zupełnie nowymi. Potrzebowałam nauczyć się żyć w pojedynkę, co po ponad czterdziestu trzech latach wspólnego zasypiania i budzenia się oraz dzielenia wszystkich smutków i radości, okazało się być piekielnie trudne. Z czasem udało mi się przyswoić umiejętność bycia swoim własnym towarzyszem i opiekunem. Ciepło memu sercu musiały zapewniać drobne czynności, na które musiałam nieustannie wskrzeszać własne siły oraz chęci. To pomagało mi w powolnym kroczeniu od dnia do dnia, a może wręcz w życiu z dnia na dzień. Dla małego urozmaicenia zaczęłam urządzać małe spacerowe wypadki i codziennie starałam się dostrzec w mijanym od lat, monotonnym krajobrazie coś wyjątkowego. Być może w głębi duszy tak naprawdę chciałam w ten sposób nabyć umiejętność spojrzenia w taki sposób również i na własne życie. Co ciekawe, punktem kulminacyjnym moich eskapad była stara, obdrapana ławeczka z wrytym „A+F”. Uwielbiałam sobie wyobrażać, że przed laty w tym miejscu siadała para bardzo szczęśliwych i bliskich sobie ludzi. W swojej głowie nazwałam ich Andrzejem i Felicją. Zdawałam sobie sprawę, że to całkiem niedorzeczne, pomysł ten jednak do mnie przyszedł i uporczywie nie chciał odejść.

To miejsce, wydawało się być tak kojąco osobiste, że nieodwracalnie stało się dla mnie tylko i wyłącznie „ławką Felicji i Andrzeja”.

Niestety, istniała jego pewna maleńka skaza. Tuż obok stała kolejna ławka kompletnie pozbawiona symbolicznego znaczenia. Upodobała ją sobie grupa pań, na oko w wieku zbliżonym do mojego. Ktoś mógłby powiedzieć: świetnie, tego właśnie potrzebujesz, ludzi. Szczerze przyznając, wiedziałam doskonale, że było to prawdą. Zdawałam sobie sprawę, że jedynym sposobem, aby znaleźć towarzystwo, które wypełniłoby to gniotące poczucie pustki, było wyjście do niego i otworzenie się choć odrobinę. Niestety wciąż brakowało mi odwagi, aby zdobyć się na tak wielki krok. Siedziałam więc w miejscu Felicji i Andrzeja, przysłuchując się rozmowom nieznanym, bardzo zaaferowanych kobiet. Wydawały mi się być całkiem rozsądne. Rzecz jasna, jedne bardziej, drugie mniej. Czasem się z nimi zgadzałam, a czasem zdecydowanie nie. W ogólnym rozrachunku jednak wydawało mi się, że mogłabym znaleźć z nimi wspólny język. Podczas tych biernych dla mnie rozmów, jeżeli w ogóle można było to w ten sposób określić, następował pewien paradoks. Jednocześnie mogłam wreszcie poczuć się częścią społeczeństwa i naładować towarzyskie baterie, z drugiej jednak pomiędzy mną a tamtymi kobietami istniała przepaść, której wciąż nie miałam odwagi przekraczać. To desperackie słuchanie jednocześnie dawało mi przyjemność z poczucia normalności, ale też wcale normalne nie było. Zabijało mnie to od środka. Co ja, do diabła, robiłam? Zasłuchiwałam się w ploteczkach o ludziach, których nie znałam oraz w poradach, których zapewne nigdy w przyszłości nie miałam wykorzystać. Zapominałam, że przecież nie byłam częścią tego małego, zamkniętego kręgu, ani też jakiegokolwiek innego. Wciąż czułam się sama, możliwe nawet, że bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie umiałam wytłumaczyć, dlaczego nie mogłam zdobyć się na tak pozornie mały krok. Pozostawanie w starej i znanej skorupie, nawet jeśli nie do końca zadowalającej, wydawało mi się być bezpieczniejsze i bardziej pociągające. Tak więc tkwiłam w tej dziwnej relacji długimi miesiącami. Mogłam poszczycić się doskonałą wiedzą o wszystkich wnukach tych pań. Znałam zawody wykonywane przez ich dzieci, a także w sposób niezwykle dokładny wszystkie wady ich mężów, nie zamieniwszy z nimi ani jednego słowa. Taki obrót spraw mnie oczywiście wciąż nie zadowalał, a wręcz bardzo unieszczęśliwiał. Poczulałam w sobie wewnętrzny bunt i postanowiłam ukrócić swoją frustrację. Swoje kroki skierowałam więc w stronę parku i ukochanej ławki Felicji i Andrzeja. Nie miałam jednak w planach na niej siadać, o nie. Tym razem zamierzałam stać się duszą towarzystwa, śmiać się szczerze i opowiadać anegdoty. Miałam oczywiście pewne obawy, że za bardzo wyszłam z wprawy w sztuce konwersacji, lub, że cała ta nagłość okaże się dla mnie zbyt trudna. Albo co gorsza... że przypadkiem wypalę jakieś pytanie o zdrowie Krzysia albo o nową pracę Henia i wyjdzie na jaw jak bezwstydnie podsłuchiwałam te kobiety. Spłonęłabym ze wstydu. Jedyne spokojnie przynosiła mi myśl, że zapewne one od dawna doskonale widziały, co się działo. Świadczyły

o tym chociażby krótkie spojrzenia posyłane w moją stronę, gdy w sposób mało dyskretny chichotałam pod nosem z zasłyszanych żartów. Prawdopodobnie opinia na mój temat była tak zrujnowana, że mogłam już tylko wyłącznie zadziałać na swoją korzyść, a to stanowiło ogromne pokrzepienie. Mogło być już tylko lepiej.

Ku mojemu zdziwieniu, po przybyciu do parku, nikogo nie znalazłam. Ponownie moje własne poczynania wydały mi się być śmieszne. Czy faktycznie myślałam, że jeśli przyjdę w losowy dzień o równie losowej porze, to naprawdę natknę się na te kobiety? Westchnęłam głęboko i ciężko opadłam na ławkę Felicji i Andrzeja tak, jak zaczęły opadać mnie wszelkie resztki krótkotrwałych chęci. Dotarło do mnie, że wszystkie wydarzenia tego dnia wydarzyły się tak naprawdę po nic. Wcześniej łudziłam się, że tkwił gdzieś ukryty sens tego wszystkiego. Że wydarzenia i emocje towarzyszące mi tamtego dnia miały pchnąć mnie ku jakiemuś przełomowi. Lecz tak naprawdę może nigdy nie było żadnego wyższego celu. Jedyne, co pozostało to naiwna, zagubiona i nierozumiana przez samą siebie staruszka. Powinnam była ją wspierać, a zamiast tego było mi wstyd. Niszczyłam ją coraz bardziej z każdą kolejną upływającą chwilą i każdą przemykającą przez mój umysł myślą. Ponośliłam porażkę, a poczucie niemocy tylko potęgowało frustrację spowodowaną samą sobą.

W poszukiwaniu otuchy spojrzałam w niebo. Było zupełnie bezchmurne. Staralam się dostrzec to, co kryje się za jego dziennym błękitem -miliardy gwiazd, tysiące nieodkrytych planet. W porównaniu z nimi byłam jak maleńki puszek. Wiatr owiewał mój kapelusz roznosząc w powietrzu cudowną woń wiosny, a przez liście przecierały się wspaniałe, złociste refleksy światła. To wszystko sprawiło, że wróciły do mnie dziecięce wspomnienia wszystkich beztróskich dziecięcych dni, kiedy bawiłam się z rówieśnikami w ogrodzie. Życie było wtedy tak beztróskie. Wiele bym dała, by odwrócić bieg czasu. Znowu być tą małą dziewczynką, która wciąż miałaby przed sobą zapoznanie ze wszystkimi smakami życia. Ponownie zasiąść przy pełnym, rodzinnym stole, spojrzeć na twarze bliskich i z westchnieniem pełnym ulgi i miłości stwierdzić: oni jeszcze tutaj są. Długo mogłabym wymieniać to, czego zazdrościłam sobie z przeszłości. Pomijając już posiadanie gładkiej skóry bez zmarszczek i brak konieczności radzenia sobie z siwizną - to się zupełnie nie liczyło. Bardziej brakowało mi tamtej młodszej radości, tego światła, które wówczas ze mnie biło. Miałam całe setki marzeń, planów. Bycie pierwszą gwiazdą estrady w kosmosie? Pestka, wtedy myślałam, że mogę wszystko. I choć wcale nie żałowałam niczego w moim życiu, nawet tego, że nigdy nie udało mi się zostać gwiazdą pośród gwiazd, było mi żal, że gdzieś po drodze zagubiłam tamtą ikrę. Moje ogniki zgasły. Z tego tlącego się ogniska pozostał jedynie dym - rozmyte wspomnienia tego, jak kiedyś byłam szczęśliwa.

Wkrótce dotarły do mnie dźwięki dochodzące ze świata zewnętrznego, a melancholijny tok myśli został rozwiany niczym piasek przepuszczany przez palce w wietrzny dzień. Serce zabiło mi mocniej, gdyż znałam doskonale te zbliżające się głosy. Już wiedziałam, że

oto nadeszła moja chwila, w której opuszczę swój poważnie zagnieżdżony kokon i wreszcie rozwinę skrzydła. A przynajmniej rozpaczliwie na to liczyłam. Niestety, jak się szybko okazało, żywiłam się płónnymi nadziejami, bo oto wszystkie panie zjawiwszy się w ukochanym parku, postanowiły obrać dla siebie inne miejsce i przysiadły na ławce dalej. Zapiekły mnie policzki, gdyż miałam nieodparte wrażenie, że tak naprawdę chciały uniknąć moich wścibskich uszu. Tyle, że co te kobiety mogły tak naprawdę wiedzieć? I czy naprawdę były aż tak zaślepione, żeby nie zauważyć, że za moim zachowaniem kryło się coś więcej niż ciekawość do ich codziennych i trywialnych ploteczek? Nie, same opowieści mnie zupełnie nie interesowały. Nie chciałam być duchem, który kogokolwiek drażni. Nie sądziłam, że moje działania kiedykolwiek staną się tak irracjonalne, że wydam się śmieszna nie tylko innym, ale także samej sobie. Z całą pewnością nigdy nie dopuszczałam do siebie, że pewnego dnia nadejdzie czas, kiedy będę czuła się tak bardzo niepotrzebna i niewidzialna dla osób wokół mnie. Lecz nawet to było zbyt daleko idącym stwierdzenie, gdyż w rzeczywistości wokół mnie tak naprawdę nikogo nie było. Mogłam jedynie mijać ludzi na oślep, ale oni i tak nawet na mnie nie patrzyli. Nawet jeśli przypadkiem zerknęli, to wątpiłam, że dostrzegali po drugiej stronie człowieka. No bo jak wytłumaczyć, że te kobiety nie mogły spróbować ruszyć głową i domyślić się, że być może, czysto opcjonalnie, ja tak naprawdę byłam w porządku? Od długich miesięcy pomimo wszelkich starań wydobyć siebie samej na powierzchnię, tkwiłam w dole głębszym niż kiedykolwiek. Tęskniłam za ukochanym mężem w każdej upływającej chwili. Tęskniłam za moim jedynym, wspaniałym synem, który niefortunnie zatrićcił się w świecie pracy i pieniądza, a ja bezpowrotnie utraciłam umiejętność jak do niego dotrzeć. W rezultacie powstała bardzo bolesna ściana pomiędzy mną a wszystkim, co było mi drogie. Przez cały czas czułam się przygnieciona przez wszystkie kumulujące się we mnie emocje, które stały się moim brzemieniem. Najgorsze, że tkwiłam w tym okropnym pustkowiu bez ani jednej duszy, która mogłaby mnie w tym wszystkim wesprzeć i uśmierzyć mój ból. Otaczająca mnie cisza zdawała się dzwonić w uszach i powodowała dodatkowy chłód. Zamarzłam w swojej małej umysłowej pustyni, bojąc się, że nawet jeżeli wyszłabym do ludzi, to w pewnym momencie znowu mogłabym zostać sama. Obawiałam się bólu, jednocześnie odbierając sobie jedyną możliwość jego ukojenia.

Mogły się choć spróbować domyślić, ale tak się niestety nie stało. Nie miałam jednak do nich o to żadnych pretensji. Ja też mogłam rozegrać wszystko zupełnie inaczej. Nie powinno się płakać nad rozlanym mlekiem. Choć w tamtej chwili byłam w takiej czeluści zwątpienia, że nawet rozlana woda mogłaby mnie doprowadzić do nieprzeciętnej rozpaczy. Coś mi dolegało. Próbowałam to odrzucać i wypierać, wmawiając sobie, że nie czułam się źle, ale kłamstwo wypowiedziane setki razy stawało się cięższe do wykrycia. Miałam świadomość pięknego, przeżytego życia i myślałam, że okres świetności i czas szczęścia dla mnie przeminął. Oczywiście głupoty, ale tak wówczas sądziłam. Patrzyłam na swoją delikatną, pomarszczoną skórę i wydawałam się sobie być już prawie zupełnie przezroczysta. To nie był najwe-

selszy moment. Oj, nie był wcale. Nic nie wydawało się być w porządku, a wszelkie próby wmawiania sobie „Staraj się szukać pozytywów!” kończyły się jedynie pogorszeniem mojego stanu. Bałam się, że pozytywność miała już nigdy więcej do mnie nie zawitać. Emocje nadciągały ze wszystkich stron, dosłownie z każdej myśli. Nic nie potrafiło wyprowadzić mnie z równowagi równie mocno, jak moja własna głowa, która potrafiła być bezlitosna. Pragnęłam zagłuszyć swój własny głos wewnętrzny i uciec. Żałowałam, że nie istniał wyłącznik, który sprawiłby, że zatrzymałby się ciąg kłębiących myśli i emocji, ponieważ zaczęłam już tracić nad sobą panowanie. Łzy trzymały mnie za gardło. Głębokimi wdechami próbowałam rozluźnić ich uścisk, jednak nic nie mogłam na niego poradzić. Czułam, że nieuchronnie nadchodził mój wielki wybuch. Gdy miałam już dać publiczny upust własnej rozpacz, nagle coś się zadziało. Coś nagłego i zupełnie niespodziewanego, aczkolwiek niezwykle miłego. Wraz z jednym z haustów powietrza usłyszałam cichutki i miękki niczym dziecięcy kocyk głosik mówiący:

- Ma pani przepiękny kapelusz.

Mój wzrok powędrował na młode, przecudnej urody, złotowłose dziewczę, które uśmiechnęło się do mnie, ukazując całą gamę kształtnych zębów. Moje serce wypełniła fala miłego ciepła, a ręka powędrowała ku błękitnemu kapeluszowi, którym bez większego zastanowienia przykryłam głowę, wychodząc z domu. Byłam niezwykle zaskoczona. W tym szoku omal nie zapomniałam o pełnym wdzięczności podziękowaniu. Piękna istotka powędrowała dalej, a ja nieustannie byłam pod ogromnym wrażeniem, że jeszcze są tak mili ludzie, którzy dobre rzeczy wypowiadają otwarcie na głos. To mnie zupełnie skonfundowało, a jednocześnie sprawiło, że na chwilę zapomniałam o tej wsysającej mnie jeszcze chwilę wcześniej otchłani. Uśmiechnęłam się pod nosem. Pozytywność jednak postanowiła jeszcze mnie nawiedzić. Musiałam też przyznać, że całkiem przyjemnie było poczuć się zauważoną, nawet jeśli chodziło o coś tak przyziemnego. Ponownie sięgnęłam ręką w stronę mojego nakrycia głowy. Tak drobny szczegół, tak niewielka uwaga, a dzięki nim chwilowo po mojej wewnętrznej burzy zapanował spokój.

Jak się okazało spokój ten towarzyszył mi tamtego dnia również i wieczorem. Tuż po cieplej kąpieli stojąc w wełnianych kapciuskach na zimnej podłodze, celebrowałam pozbycie się wcześniejszego poczucia przytłoczenia. Czułam się jakby cała zła aura została rozwiana przez popołudniowy ciepły wiatr. Gdy myślałam o dziewczynie od kapelusza, moje kąciki ust wciąż unosiły się lekko. I choć chwilowo dojmujący chłód mi już nie doskwierał, z przyzwyczajenia udałam się w stronę kaloryfera pod oknem, który zazwyczaj sprawiał, że zimno ducha mogłam nadrobić ciepłem ciała. Zerknęłam na świat po drugiej stronie szyby i ku mojemu zdziwieniu ujrzałam wyłącznie ciemność. Wydało mi się dziwnie nienaturalne, że wokół nie świeciła się żadna lampa. Ta pustka powodowała niepokój. Przyszły mi na myśl wszystkie istnienia, które tak jak ja kuliły się w mroku. Próbowałam sobie wyobrazić sprawy i emocje, z

którymi musiały one sobie radzić. Tkwiłiśmy razem w tej ciemności. Trwaliśmy razem w jednym życiu, mimo że każdy z nas przeżywał je na swój zwariowany sposób. Wiele nas łączyło, nawet jeśli częściej dostrzegaliśmy różnice, a czasem wręcz odciągała nas od siebie niewidzialna siła, zupełnie jakbyśmy byli różnoimiennymi biegunami magnesu. Otaczała nas ta sama czerń, bez znaczenia, czy postrzegaliśmy ją tak samo.

Zastanowiłam się w duchu: „Jak ja ją postrzegam?”. I doszłam do wniosku, że prawdopodobnie w sposób nie najlepszy. Spróbowałam wyteńczyć wzrok, lecz poza nikłym odbiciem samej siebie, nie byłam w stanie dostrzec dużo więcej. Nagle ujrzałam mały, jasny punkcik w miejscu, w którym powinno być niebo. Poczulałam ukłucie, gdyż od zawsze przywiązywałam gwiazdom pewną mistyczną aurę. Oczywiście, w tych czasach mogła to być równie dobrze stacja kosmiczna albo helikopter, wołałam jednak wierzyć, że było inaczej. Zawitała do mnie bowiem pewna idea, której za nic nie zamierzałam puszczać. Choć nad ludźmi kłębiącymi się w ciemności świeciły jednakowe gwiazdy, wszyscy i tak czasem się gubili. Błądzili po omacku, lecz nie bez celu, a po to, by wkrótce się na nowo odnaleźć. I działo się to raz za razem, lecz wbrew pozorom nie powinno to być frustrujące. Dla mnie wręcz przynosiło to ogromne ukojenie. Pomimo liczby swoich przeżytych lat wciąż miałam przed sobą długą drogę do pokonania i nie musiałam wcale wyrzucać sobie tego, że wciąż szukałam samej siebie, a pewnych spraw musiałam się jeszcze nauczyć. Byłam przecież dalej niż kiedykolwiek, przede mną jednak kryły się kolejne możliwości. Czekająca na mnie dobra przyszłość, w której istnienie wcześniej szczerze wątpiłam. Przede mną był długi proces pełen trudnych i z pewnością bardziej radykalnych niż przejście z ławki do ławki zmian. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, tkwiło w tym coś ekscytującego i dla niezwykle ważnego – nadzieja, że i ja wkrótce się w moim poszukiwaniu odnajdę.